

STRESZCZENIE SZCZEGÓŁOWE

# Nie-Boska komedia - streszczenie szczegółowe

*Zygmunt Krasiński*

maturapolski.pl — darmowe opracowania lektur

## Część pierwsza — poeta, który zdradził Poezję

---

Dramat otwiera liryczny wstęp-inwokacja do Poezji. Narrator zwraca się do poety jako do „marnego cienia”, który „znać o świetle daje, a światła nie zna”: poeta gra cudzym uszom „niepojęte rozkosze”, splata i rozwiązuje serca jak wianek, lecz sam jest pusty — „przez ciebie płynie strumień piękności, ale ty nie jesteś pięknnością”. Krasiński rozdziela tu dwa typy twórcy. Błogosławiony jest ten, w kim Poezja zamieszkała jak Bóg w świecie — taki „będzie kochał ludzi i wystąpi mężem pośród braci swoich”. Przeklęty zaś ten, kto Poezję zdradza, „wyda na marną rozkosz ludziom” i przez całe życie „grobowy wieniec splata sobie”. Powraca refren-wyrok: „Temu i niewieście jeden jest początek” — fałszywy poeta zrównany zostaje z marnością. To ideowa rama całego utworu: bohater jest właśnie takim poetą, który traktuje życie jak materię do estetycznych uniesień.

O duszę głównego bohatera — nazywanego Mężem (imię Henryk pada z ust żony) — toczy się walka. Anioł Stróż błogosławi „ludziom dobrej woli” i wzywa: niech zjawi się dobra, skromna żona i niech urodzi się dziecko — przez rodzinę Mąż „jeszcze zbawion być może”. Naprzeciw staje Chór Złych Duchów, który wysyła ku poecie trzy zwodnicze widma, trzy pokusy: cień zmarłej kochanki-Dziewicy (fałszywy ideał miłości), sławę (stary orzeł wypchany w piekle) i spróchniały, podmalowany pokostem obraz Edenu (fałszywą wizję natury i sztuki). To one będą go gubić.

Mąż bierze ślub. W kościele, sam już po obrzędzie, przysięga: „przekleństwo mojej głowie, jeśli ją kiedy kochać przestanę”. Na weselnym balu zachwyca się znużoną tańcem Panną Młodą — „wiecznie, wiecznie będziesz pieśnią moją” — a ona obiecuje być wierną żoną „jako matka mówiła, jako serce mówi”. Lecz idylla jest pozorna. Zły Duch pod postacią Dziewicy przelatuje nocą nad ogrodem i cmentarzem, kradnąc z mogił urodę zmarłych dziewczyc — kwiaty do włosów, ogień zgasłych oczu, atlasową suknię pochowanej księżnej — by uwieść poetę zlepkiem trupiego piękna.

Wkrótce po ślubie Mąż budzi się ze snu o nieosiągalnym ideale i z odrazą patrzy na śpiącą obok żonę: „sądziłem, że to ty jesteś marzeniem moim... ty dobra i miła, ale tamta...”. Gardzi własnym małżeństwem, nazywając je „snem żarłoków, snem fabrykanta Niemca przy żonie Niemce” — życiem płaskim, mieszczańskim, wypełnionym wizytami u krewnych, doktorów i sklepów. W nocnym ogrodzie znów zjawia się Dziewica i wymusza obietnicę: pójdzie za nią, „w którykolwiek dzień przyleci po niego”. Mąż przysięga: „O każdej chwili twoim jestem” — i w duchu żegna się z domem, ogródkiem i żoną „stworzoną dla ogródka i domku, ale nie dla mnie”. Z okna woła go ciepły głos kobiecy, troszczący się o chłód nocy; przypomina sobie też o dziecku — „a dziecię moje — o Boże!”.

Rodzi się syn, Orcio (Jerzy Stanisław), i szykują się chrzciny. Żona, krzątając się wokół tortów i kolebki, próbuje odzyskać męża; przy fortepianie wyznaje, że od miesiąca nie rzekł do niej słowa, że wszyscy mówią, iż źle wygląda, że na spowiedzi nie znalazła grzechu, którym mogłaby go obrazić. Mąż odpowiada zimnym: „Czuję, że powinienem cię kochać” — a to jedno słowo „powinienem” dobija ją bardziej niż otwarte „nie Kocham”. Klęka z dzieckiem na rękach, błagając już nie o własne szczęście, lecz o jedno: by zawsze kochał syna. Mąż całuje ją w czoło, obiecuje — i w tej samej chwili rozlega się grzmot, a po nim coraz dziksza muzyka. Do salonu wchodzi Dziewica i wzywa poetę: „odrzuć ziemskie łańcuchy... Jam twoja”. Pokusa zwycięża nad domowym ołtarzem.

Żona widzi zjawę taką, jaką jest naprawdę: „widmo blade, jak umarły — oczy zgasłe i głos jak skrzywienie woza, na którym trup leży”, całun opadający w szmatach z ramion. Mąż jednak pozostaje zaślepiiony — dla niego Dziewica jaśnieje światłem, a żonę odpycha jako „kobietę z gliny i błota”, „pierwszą myśl Boga”, która poszła za radą węża. Mimo rozpaczliwego „nie puszczę cię” rzuca dom i wychodzi za widmem; Żona mdleje, padając z dzieckiem.

Odbywają się chrzciny Orcia, obnażające pustkę otoczenia: goście półgłosem plotkują o nieobecnych Hrabim i o tym, że zamiast suto zastawionego śniadania zastali „płacz i zgrzytanie zębów”. W trakcie obrzędu obłąkana już bólem Żona podnosi się jak we śnie, kładzie dłonie na głowie syna i wypowiada przerażające błogosławieństwo-klątwę: „Bądź poetą, aby cię ojciec kochał, nie odrzucił kiedyś... Przeklinam cię, jeśli nie będziesz poetą”. Mdleje, wynoszą ją słudzy. Ojciec Chrzestny dopełnia obrzędu pustymi formułami o przyszłym urzędniku i o tym, że „za Ojczyznę zginąć jest pięknie”.

Tymczasem Mąż goni Dziewicę w góry nad morzem, ciesząc się, że zostawił za sobą „świat ludzi” niczym mrowisko. Lecz w czasie burzy, na krawędzi przepaści, widmo objawia swoją trupią naturę: kwiaty osuwają się z jej skroni i pełzną po ziemi „jak jaszczurki, jak żmije”, wiatr zdziera suknię w szmaty, „kości nagie wyzierają z łona”, a błyskawica wyżera oczy. Chór Złych Duchów triumfalnie odsyła „starą” do piekła — pokusa spełniła zadanie, uwiodła „serce wielkie i dumne, podziw ludzi i siebie samego”. Mąż, czujący, jak niewidzialna siła i tłum ludzi prą go ku otchłani, woła, że stał się „igrzyskiem szatanów”. Ratuje go Anioł Stróż, uciszający bałwany morskie w tej samej chwili, gdy na głowę dziecka spływa woda chrztu: „Wracaj do domu i nie grzesz więcej. Wracaj do domu i Kochaj dziecko twoje”.

Mąż wraca, lecz jest już za późno: Żonę odwieziono do domu obłąkanych. Szatański głos szydzi z jego cierpienia — „Dramat układasz” — punktując, że nawet swoją winę bohater przeżywa estetycznie, jak materiał na poemat. W zakładzie, otoczonym górami, gospodyni-żona doktora roztacza obojętną paplaninę o kosztach instytutu i widokach na góry. W celi, wśród dobiegających zewsząd głosów obłąkanych (jeden mieni się drugim Bogiem wśród katów, inny posyła królów na rusztowanie w imię „wolności ludu”, trzeci każe klękać przed królem — zapowiedź rewolucyjnych części dramatu), Maria wita męża szczęśliwa. Wymodliła sobie, jak

twierdzi, „ducha poezji” i trzeciego dnia „stała się poetą” — recytuje, wierząc, że zrównała się wreszcie z mężem i że już jej nie porzuci. W obłędzie roztacza apokaliptyczną wizję tego, „co by było, gdyby Bóg oszalał”: konające słońca i komety, Chrystus rzucający własny krzyż w otchłań, samotnie modląca się Bogarodzica. Powtarza, że ich syn będzie poetą, bo go o to błogosławiła i przeklęła, że „przypięła mu skrzydła i posłała między światy”. Słabnąc, skarży się, że ktoś zawiesił jej w głowie kołyszącą się lampę — pierwszy znak nadchodzącej śmierci. Wypowiada jeszcze złowróżbne zdanie: „Kto jest poetą, ten nie żyje długo”. Krew rzuca się jej do mózgu; umiera w ramionach Męża, szczęśliwa, że odchodzi przy nim. Wezwany Doktor stwierdza krótko: „Już jej nic nie ma — umarła”. Tak kończy się część pierwsza — tragedia rodzinna spustoszona przez fałszywy ideał poety.

## Część druga — ślepy poeta i wybór drogi

---

Część drugą otwiera liryczna apostrofa do Orcia, niezwyklego, naznaczonego dziecka. Nie bawi się jak inne dzieci, nie hasa na kijku ani nie morduje motyli — zamiast tego marzy, opiera czoło na białych rączkach, a jego błękitne oczy są „pełne wspomnień, choć ledwo kilka wiosen przeszło mu nad głową”. Otoczenie próżno wróży mu przyszłość, każdy na swoją modłę: lekarz orzeka „nerwy”, Ojciec Chrzestny obiecuje obywatela wśród wielkiego narodu, profesor — zdatność do nauk ścisłych, wojskowy — szlify pułkownika, ubogi żebrak — piękną żonę i koronę w niebie. Tylko troje cofa się przerażonych: Cyganka nie umie nic wyczytać z jego dłoni i odmawia zapłaty, magnetyzer czuje, że sam zasypia, a ksiądz chce przed dzieckiem uklęknąć jak przed obrazem. Malarz maluje z niego szatanka pośród wyklętych duchów dnia sądnego. Orcio rośnie piękny „pięknością dziwnych, niepojętych myśli”, jak więdnący kwiat z duszą z ognia — „może takie bywały przed upadkiem Adama”.

Dziesięć lat po śmierci Marii Mąż przyprowadza syna na jej grób i każe się modlić. Lecz Orcio nie potrafi zmówić zwykłego „Zdrowaś” — w usta same nawijają mu się poetyckie improwizacje o Maryi, po której skrzydłach aniołowie ścielą tęcze; „bolą w głowie tak, że muszę je powiedzieć”. Wyznaje ojcu, że często widuje matkę — białą i wychudłą, przechadzającą się po szerokiej ciemności „na krawędziach światów”. Słyszy jej głos płynący jakby od oświetlonych zachodem modrzewi: matka śpiewa, że ze wszystkich światów, od duchów wyższych i niższych, zbiera dla syna kształty, dźwięki, barwy i natchnienie — wszystko, „co ludzie na ziemi, anieli w niebie nazwali pięknnością” — po to jedynie, by „ojciec kochał ciebie”. Mąż pojmuje z grozą, że obłąkana przy zgonie Maria zaraża dziecko własnym szaleństwem i poezją; błaga Boga, by nie wydzierał rozumu temu „aniołkowi”, któremu dał „ciało do pajęczyny podobne”, i by pozwolił mu ukochać syna w spokoju.

Na przechadzce Mąż spotyka Filozofa — głosiciela nowych idei, wieszczącego wyzwolenie kobiet i Murzynów oraz „odrodzenie rodu ludzkiego przez krew i zniszczenie form starych”, na

podobieństwo gwałtownych rewolucji prostujących oś globu. Mąż zbywa go ironiczną przypowieścią: pokazuje spróchniałe drzewo, które choć wypuściło kilka świeżych listków, ma zgniłe korzenie i wkrótce „pójdzie precz na węgle i popiół” — „to obraz twój i wszystkich twoich, i wieku twego, i teorii twojej”. Sceptycyzm bohatera obejmuje obie strony nadchodzącego konfliktu.

W górskim wąwozie Mąż dokonuje gorzkiego bilansu: lata pracy nad poznaniem wszelkich rozkoszy i myśli odkryły mu jedynie „próżnię grobową w sercu” — zna wszystkie uczucia po imieniu, lecz nie ma w nim żądy, wiary ani miłości, cierpi „tak, jak Bóg jest szczęśliwy — sam w sobie, sam dla siebie”. Głos Anioła Stróża wskazuje mu jedyną drogę zbawienia: „Schorzałych, zgłodniałych, rozpaczających pokochaj bliźnich twoich... a zbawion będziesz”. Lecz zaraz przemyka Mefisto, podszywający się pod bruchomówcę, a nad miejscem jego zniknięcia wzbija się czarny Orzeł — pokusa sławy i honoru rodowego. Orzeł wzywa: „Szablą ojców twoich bij się o ich cześć i potęgę... a wrogi tve pójdą w pył”. Mąż, mimo że dostrzega węża w jego spojrzeniu i strąca gada, ulega głosowi przeszłości i chwały: postanawia stanąć po stronie ginącej arystokracji — „idę się na człowieka przetworzyć, walczyć idę z bracią moją”. Odrzuca radę Anioła i wybiera pychę.

Tymczasem ślepotą syna staje się faktem. Wezwany Lekarz bada czternastoletniego Orcia: oczy z pozoru zdrowe — „powieki prześliczne, białka przeczyste” — lecz źrenica jest „szara, bez życia”, nieczuła na światło. Diagnoza brzmi: zupełne osłabienie nerwu optycznego, „myśl w nim ciało przepisała”, grozi nadto katalepsja, „nie ma nadziei”. Chłopiec wyznaje, że z zamkniętymi powiekami widzi więcej niż z otwartymi — wewnętrzny wzrok poety zastępuje mu gasnący wzrok ciała. Zrozpaczony Mąż na próżno ofiarowuje lekarzowi pół majątku.

Lekarz nazywa chorobę po grecku — *amaurosis*, ślepotą z uszkodzenia nerwu wzrokowego — i wychodzi z chłodnym aforyzmem: „dezorganizacja nie może się zreorganizować”. Orcio przyznaje, że choć oczy ciała pogasły, wewnątrz wciąż „widzi oczyma duszy” twarze, miejsca i karty czytanych książek. Mąż pada na kolana, lecz natychmiast wstaje zrezygnowany — „Bóg się z modlitw, Szatan z przekleństw śmieje” — a szatański głos przypomina mu drwiąco: „Twój syn poetą — czegoż żądasz więcej?”. Na boku Lekarz i Ojciec Chrzestny plotkują, że matka Orcia umarła „bez piątej klepki”. Nocą krewni i lekarz podglądają lunatyczny atak chłopca: Orcio wstaje przez sen, z założonymi rękami i nieruchomymi powiekami wygłasza poetyckie tyrady („jam się urodził synem światła i pieśni”) i wzywa matkę, by zsyłała mu obrazy, „by stworzył drugi świat w sobie, równy temu, jaki postradał”. Mamka błaga Matkę Boską: „weź mi oczy i daj jemu”. Lekarz orzeka pomieszenie zmysłów ze stanem snu i jawu naraz. Zostawszy sam, Mąż błogosławi śpiące dziecko, świadom, że nie może mu dać „ni szczęścia, ni światła, ni sławy”, podczas gdy sam musi już iść „walczyć z kilkoma ludźmi przeciwko wielu” — i lęka się, gdzie podzieje się jego „ślepy, bezsilny, dziecię i poeta zarazem” syn.

## Część trzecia — obóz rewolucji

---

Część trzecia przenosi akcję w sam środek rewolucji społecznej. Narrator-poeta przywołuje najpierw obraz ginącej przeszłości — gotyckich wież i katedr — by zaraz stwierdzić: „tego już nigdy nie będzie”. Świat toczy się naprzód „walcem”, a wszędzie „krwi dużo”. Przed bramami miasta, wśród wzgórz i topoli, koczuje wielotysięczny tłum buntowników: nędzarze w łachmanach, ze znojem na czole, uzbrojeni w kosy, młoty, hebla, topory i szydła; przybyły z nimi zmęczone, zwiędłe przed czasem kobiety. Z rąk do rąk krąży kubek — „niech żyje kielich pijaństwa i pociechy” — a tłum, podchmielony i głodny, czeka na wodza.

Na stół wstępuje Pankracy — przywódca rewolucji. To człowiek zimnego rozumu: łyścza czaszka (włosy „strącone myślami”), skóra przyschła do kości, oczy nieruchome, ani śladu krwi czy wzruszenia na twarzy. Przemawia z wystudiowaną siłą, a tłum chyli przed nim głowy „jak przed błogosławieństwem wielkiego rozumu — nie serca; precz z sercem, z przesadami, a niech żyje słowo pociechy i mordy”. Obiecuje masom chleb i zarobek; w odpowiedzi wybuchają okrzyki: „Niech żyje Pankracy! Chleba nam, chleba! Śmierć panom, śmierć kupcom!”. U jego stóp wspiera się towarzysz-sługa — Przechrzta o wschodnich oczach, lubieżnym i złośliwym wyrazie twarzy, palcach w złotych pierścieniach.

W osobnej scenie Krasiński pokazuje sektę Przechrztów (ochrzczonych Żydów) zebraną nocą w szałasie nad otwartym Talmudem — jeden z najbardziej obciążonych, antysemitycznych motywów dramatu, czytany dziś jako wyraz lęków epoki. W chóralnej modlitwie do Jehowy spiskowcy wyznają, że pod pozorem haseł wolności i dobra ludu dążą do zguby chrześcijańskich panów i do obalenia Krzyża: „na wolności bez ładu, na rzezi bez końca... osadzimy potęgę Izraela”. Rewolucja jest dla nich tylko narzędziem. Przerywa im Leonard — młody, gwałtowny zapaleniec rewolucji — który sprawdza, czy szykują na jutro stryczki i pugiwały („kto od żelaza nie padnie w boju, ten na gałęzi skona”), i wzywa Przechrztę do tego, „który myśli i czuje najpotężniej z nas wszystkich”.

W swoim namiocie, wśród porzucanych butelek, Pankracy zdradza pogardę dla własnych zwolenników: pięćdziesięciu hulalo tu i wznosiło wiwaty, lecz żaden nie pojął jego myśli — „servile imitatorum pecus” (niewolnicze stado naśladowców). Wódz rewolucji każe Przechrzcie udać się nazajutrz do hrabiego Henryka (głównego bohatera) i umówić tajne, osobiste spotkanie na noc pojutrzejszą. Przechrzta wyznaje przy tym dawną urazę: hrabia raz potraktował go z pańską wyniosłością — „Ustąp się” — za co „ślubował mu stryczek w duszy”. Dwaj wodzowie dwóch ginących światów mają się spotkać twarzą w twarz.

Pankracy wysyła Przechrztę w drogę samego, dając mu za jedyną ochronę swoje imię — i groźbę: jeśli zdradzi, czeka go ta sama szubienica, na której powieszono Barona. Po jego wyjściu dochodzi do starcia wodza z Leonardem. Młodzieniec, rozpalony, domaga się natychmiastowego szturmu — „daj rozkaz, a on pójdzie jak iskra” — i zarzuca Pankracemu

zwłokę, półśrodkę, wreszcie zdradę. Pankracy reaguje lodowato: za podniesiony o ton głos grozi mu „pięcioma kulami w piersi”, po czym łaskawie przebacza, tłumacząc, że gorączka Leonarda to tylko „konieczność jego lat”. Sprawdza rzeczowo przygotowania — dwa tysiące ładunków, stutysięczną składkę szewców — i wyjawia prawdziwy powód zwłoki: chce osobiście zobaczyć hrabiego Henryka, „zabitego arystokratę, ale poetę zarazem”, spojrzeć mu w oczy i spróbować przeciągnąć go na swoją stronę. W samotnym monologu wódz zastanawia się, czemu ten jeden człowiek — z garstką wiernych chłopów, „nędza, zero” — tak go pociąga; podejrzewa, że jego duch „napotkał równego sobie”. Rozważa własną naturę jako „myśli — pani ludu”, w której „co zbrodnią dla innych, to chwałą”, lecz która „sama błąka się i nie wie, czym jest” — by stłumić wątplenie okrzykiem: „ty jesteś wielką!”.

Bohater — hrabia Henryk, czyli dotychczasowy Mąż — postanawia poznać wroga z bliska. Przebrany w czarny płaszcz i czerwoną czapkę wolności, trzymając Przechrztę pod ukrytym pistoletem jako przewodnika, wkracza nocą do obozu rebeliantów. To wędrówka po galerii rewolucyjnego świata. Wokół szubienicy mężczyźni i kobiety tańczą „taniec wolnych ludzi”, śpiewając bluźnierczą pieśń, w której „dziękują za służbę” Bogu, królom i panom, że nie mieli nad nimi litości. Rozradowana dziewczaka-służąca cieszy się, że wreszcie może „jeść sama, tańcować sama”. Henryk obchodzi kolejne grupy: klub Lokajów, gdzie kamerdyner-prezes i służący chełpią się zabiciem dawnych panów i znajomością „śmieszności salonów”; dziki chór Rzeźników, którym „jedno: czy bydło, czy panów rznąć”; Wolną Kobietę — emancypantkę „rozdającą miłość” towarzystwu, obwieszoną klejnotami zdartymi z męża-„wroga wolności”. Spotyka też Bianchettiego — najemnego kondotiera, generała o czaszkach trupich na czapce, który przez lunetę studiuje mury i bastiony zamku Świętej Trójcy, planując jego zdobycie, lecz odmawia zdradzenia planów „braciom w wolności, którzy nie są braćmi w geniuszu”. Henryk złośliwie radzi Przechrzcie, by go zabili, „bo tak się poczyną każda Arystokracja” — przenikliwie dostrzegając, że rewolucja sama zrodzi nowe elity.

Wędrówkę przeszywa scena demaskująca puste hasła rewolucji: pod drzewem kona wycieńczony Rzemieślnik, tkacz jedwabiu, który najlepsze lata przesiedział nad warsztatem w ciasnej komorze i nie doczeka „dnia wolności”; z przekleństwem na ustach dla kupców i panów umiera, nim zdąży podnieść do ust czarę. Henryk gorzko punktuje Przechrztę nad trupem: „Gdzie się podzieją teraz wasze wyrazy — równość, doskonałość i szczęście rodu ludzkiego?”. Przechrzta, w duchu życząc hrabiemu śmierci, chce odejść zdać sprawę z poselstwa, lecz Henryk zatrzymuje go jeszcze, by w zmierzchu raz jeszcze obejrzeć „obywateli”. Mija ich orszak chłopów ciągnących na śmierć swojego pana — „upiora”, który „ssał krew i poty nasze”: wleką go w rekruty i ku szubienicy wśród błagań o litość i śpiewu o zemście kosami, siekierami i cepami. Henryk nie zdołał dojrzeć twarzy skazańca — być może, jak sugeruje Przechrzta, „jakiegoś przyjaciela lub krewnego”. Pogardza tłumem i nienawidzi go, lecz tłumy to przekonaniem: „poezja to wszystko ozłoci kiedyś”.

Wędrownik prowadzi hrabiego w głąb boru, na wzgórze rozpalone ogniami, gdzie Leonard odprawia obrzędy nowej wiary na ruinach zburzonego kościoła — lud przez czterdzieści dni i nocy obracał świątynię w gruz. Wśród rozbitych filarów, ćwiartowanych posągów i wizerunku Bogarodzicy migoczącego w stłuczonej szybie Henryk ogląda bluźniercze nabożeństwo rewolucji. Leonard — „prorok natchnięty Wolności” — staje na gruzach przybytku z Dziewicą, „oblubienicą Wolności”, jako żywy obraz wyzwolonego, „zmartwychwstającego” rodu ludzkiego, który „rozerwał członki starego Boga”. Ogłasza nowe bóstwo: „Pana swobody i rozkoszy, Boga ludu”, którego ołtarzem ma być każdy trup ciemniejszy, prawem — równość, a karą za inne myśli — stryczek. Henryk z gorzką ironią rozpoznaje w otaczających proroka kapłanach, filozofach, poetach i artystach (z ich kochankami) nową „arystokrację” rewolucji.

Obrzęd przeradza się w apoteozę mordy. Chór zabójców chełpi się zgładzeniem królów — Aleksandra, Henryka, Emanuela — a Leonard rozgrzesza ich z góry: „mordujcie bez wyrzutów, boście wybrani z wybranych, męczennikami Wolności”. Punktem kulminacyjnym jest „święcenie zbójce”: Herman, syn sławnego filozofa, prosi o konsekrację na zbójcę; Leonard namaszcza go olejem, którym niegdyś koronowano królów — teraz „na zgubę królom” — wręcza mu rycerski sztylet i medalion z trucizną, by „żarła wnętrzości tyranów”, i wysła, by „niszczył stare pokolenia po wszech stronach świata”. Tańczą przy tym hrabiny i księżniczki, które porzuciły mężów dla nowej wiary.

Zaczepony przez Leonarda, Henryk brawurowo gra rolę: przedstawia się jako „morderca klubu Hiszpańskiego”, świeżo przybyły na powstanie, a ukrytego pod jego płaszczem Przechrztę — jako „młodszego brata”, który ślubował nie pokazywać twarzy, póki nie zabije barona. Na pytanie, czyją śmiercią się chlubi, odpowiada wymijająco i groźnie: „Ciebie pierwszego, jeśli się nam sprzeniewierzysz”. Leonard, ujęty hardością, wymienia z nim sztylety i zaprasza nazajutrz do namiotu Wodza. Przez scenę przewijają się chóry rewolucji — kapłani, filozofowie szczycący się „wyrwaniem prawdy z łona ciemności”, artyści projektujący nową świątynię z puginów zamiast filarów i ludzkich głów zamiast ozdób, z czapką wolności na jedynym ołtarzu — a dziewczęta i dzieci proszą zbójcę o głowy arystokratów, w tym wprost „o głowę hrabiego Henryka”.

Nasycony tym widokiem Henryk chce „w jedno słowo zamknąć ten świat nowy”, który „sam siebie nie pojmuje” — i wierzy, że jego słowo „będzie poezją przyszłości”. Szatański głos znów go obnaża: „Dramat układasz”. Hrabia przysięga zemstę za „zhańbione popioły ojców” i przekleństwo nowym pokoleniom, po czym schodzi ku jarowi Świętego Ignacego, gdzie czekają jego chłopcy. O świcie mijają go Chór Duchów z lasu — duchy dawnej wiary, strażnicy dzwonów, organów i katedralnych witraży — oplakujące „Chrystusa wygnanego, umęczonego” i pytające, gdzie się teraz podzieją. Henryk obiecuje im powrót Chrystusa i rozkrzyżowanie Jego wrogów. Uwalnia Przechrztę, darując mu czapkę wolności pełną pieniędzy „na pamiątkę i godło

zarazem", i woła swoich ludzi okrzykiem „Jezus i szabla moja!” — chłopci odpowiadają „Maryja i szabla nasza, niech pan nasz żyje”.

Tej samej nocy Pankracy, dotrzymując umowy, zbliża się do zamku Henryka. Rozstawia swoich ludzi w krzakach: mają leżeć twarzą do ziemi, bez ognia, i skoczyć na pomoc dopiero za pierwszym strzałem. Leonard zaklina go, by nie szedł sam do „pana, arystokraty, kłamcy”, lub by zabrał go ze sobą — wódz odmawia ruchem ręki, kwitując: „Stara szlachta słowa dotrzymuje czasem”. W komnacie obwieszanej portretami przodków, przy stoliku z lampą, parą pistoletów, pałaszem i zegarem, hrabia Henryk czeka na przybycie wodza rewolucji — scena rozstrzygającego pojedynku dwóch światów zaraz się rozpocznie.

Czekając, Henryk porównuje się do Brutusa, któremu ukazał się geniusz Cezara, i wzywa duchy przodków, by natchnęły go „lwim sercem” i niezłomną wiarą w Chrystusa. O północy wchodzi Pankracy — i już od progu zarysowuje się starcie. Wódz z pogardą stwierdza, że samo słowo „hrabia” dziwnie brzmi w jego gardle, a herby na ścianie to „godła w języku umarłych”, coraz rzadsze na ziemi. Henryk podejmuje go staropolskim obyczajem, pijąc do gościa z pucharu. Pankracy drwi z bezsilności szlachty — „dumna, uporczywa, kwitnąca nadzieją, a bez grosza, bez oręża, bez żołnierzy”, odgrażająca się jak umarły z bajki, wierząca w Boga, „bo w sobie trudno wierzyć”. Henryk odbija, że ateizm to „stara formuła”, po wodzu rewolucji spodziewał się czegoś nowego.

Z tej wymiany wyrasta wielki spór dwóch racji. Pankracy odsłania swoją wiarę: nie jest nią Bóg, lecz nędza tłumów — „głód rzemieślników, nędza włościan, hańba ich żon i córek, poníženie ludzkości”; jego bóstwem „na dzisiaj” jest własna myśl i potęga, która „chleb i cześć rozda na wieki”. Henryk przeciwstawia mu Boga, „który Ojcom jego nadał panowanie”. Wódz proponuje układ: niech Henryk rozpuści swój jedyny hufiec, zrezygnuje z odsieczy zamkowi Świętej Trójcy, a w zamian zachowa imię i dobra do śmierci — „bądź sobie ostatnim hrabią na tych równinach... a o tych nędzarzach nie myśl już więcej”. Henryk odrzuca tę pokusę jako próbę uczynienia zeń niewolnika; broni honoru rycerskiego, który Pankracy nazywa „zwiędłym łachmanem w sztandarze ludzkości”. Wódz przenikliwie obnaża rozdarcie hrabiego: „pełnyś życia, a łączysz się z umierającymi” — bo chce jeszcze wierzyć w kasty, w „kości prababek”, w słowo „ojczyzna”, choć w głębi ducha wie, że jego klasie „należy się kara, a po karze niepamięć”.

Pankracy roztacza wizję przyszłości i głosi nowe prawo dziejów: „Zgrzybiali, robaczywi, pełni napoju i jadła, ustąpcie młodym, zgłodniałym i silnym”. Z pokolenia, które „piastuje w sile woli”, narodzić się ma plemię ostatnie i najdzielniejsze, panowie ziemi „od bieguna do bieguna”, a świat stanie się „jednym miastem kwitnącym, jednym warsztatem bogactw i przemysłu” — pod władzą „Boga ludzkości”, zdobytego na niebie przez własne dzieci. Henryk wytyka mu, że twarz ma „niewzruszoną, bladą”, która „udać nie umie natchnienia”, i przeciwstawia tej utopii Chrystusa: widział Jego krzyż w starym Rzymie, u stóp którego legło „sto bogów” potężniejszych, a On jeden „stał na wysokościach, znać było, że jest Panem świata”.

Mimo to wódz po raz ostatni wzywa go: jeśli jest człowiekiem „na wzór ludzkości, nie na podobieństwo mamczynych piosneczek” — niech porzuci dom i pójdzie za nim.

Henryk nazywa Pankracego „młodszym bratem szatana”, lecz na chwilę słabnie: przyznaje, że i on niegdyś wierzył w postęp i szczęście rodu ludzkiego. Wódz notuje to z satysfakcją na stronie — „trafiłem do nerwu poezji”. Hrabia jednak utwierdza się w przekonaniu, że na ugodę jest już za późno: „przed wiekami polubowna ugoda mogła jeszcze... ale teraz trza mordować się nawzajem, bo teraz chodzi tylko o zmianę plemienia”. Na groźbę „biada zwyciężonym” odpowiada drwiną z pewnością wodza, przypominając mu, że obaj są śmiertelni — „niewolnikami pierwszej lepszej kuli”. Pankracy oświadcza wówczas zagadkowo, że „nie draśnie go ołów, nie tknie żelazo, dopóki jeden z was opiera się jego dziełu”, i odwołuje się do ostatniego argumentu — losu syna. Henryk odpowiada, że dusza Orcia jest już „czysta, ocalona w niebie”, a na ziemi czeka go „los ojca”, i ostatecznie odrzuca układ.

Rozmowa kończy się brutalną licytacją racji rodowych. Pankracy szydzi z hrabiego — „sługo jednej myśli, pedancie rycerzu, poeto, hańba tobie” — i pyta, gdzie jest jego, koczownika, własna ziemia. Henryk wskazuje portrety przodków jako żywą „myśl ojczyzny, domu, rodziny”. Wódz demaskuje wtedy ciemną stronę tej genealogii: starosta, który „Żydów piekł żywcem”, kanclerz fałszujący akta i przyspieszający spadki trucizną, cudzołożnicy i królewskie nałożnice — „głupstwo i niedola kraju całego, oto rozum i moc wasza”. Henryk odpiera, że bez łaski i potęgi jego ojców lud by nie przetrwał: to oni „wśród głodu rozdawali zboże, wśród zarazy stawiali szpitale”, wznosili świątynie i szkoły. Żadna ze stron nie ustępuje — pojedynk na słowa zmierza ku rozstrzygnięciu orężem. Henryk oświadcza, że słowa wodza „łamią się na chwale” przodków „jak strzały pohańców na ich świętych pancierzach”, i wyprasza gościa. Rozstają się jak dwaj wodzowie przed bitwą — „Do widzenia na okopach Świętej Trójcy” — a Pankracy, nazwawszy ich obu orłami („ale gniazdo twoje strzaskane piorunem”), rzuca na próg domu przekleństwo i poświęca Henryka oraz jego syna zniszczeniu. Sługa Jakub odprowadza go do ostatnich czat.

## **Część czwarta — okopy Świętej Trójcy i upadek**

---

Część czwarta rozgrywa się w zamku Świętej Trójcy — ostatniej twierdzy arystokracji, wzniesionej na nagiej granitowej wyspie wśród morza mgieł. Dolina u jej stóp jest „czarna od głów ludzkich” — tłum buntowników ciągnie tu zewsząd „jak do równiny Ostatniego Sądu”. W zamkowej katedrze gromadzą się panowie, senatorowie i szlachta; przed ołtarzem zasiada Arcybiskup z mieczem na kolanach. Henryk wkracza ze sztandarem i klęka. Magnaci szepczą zawistnie, że hrabia tylko „przedarł się nocą przez obóz chłopów”, straciwszy dwustu swoich, i spiskują, by nie dopuścić do jego wyboru. Mimo to Arcybiskup pasuje go mieczem niegdyś błogosławionym ręką świętego Floriana i wołą wszystkich mianuje wodzem twierdzy.

Pojedynczy głos sprzeciwu tonie w okrzykach „Niech żyje Henryk!“. Wódz każe zebranim przysiąc, że będą bronić „wiary i czci przodków" aż do śmierci — „głód i pragnienie umorzy was, ale nie do hańby, nie do poddania" — i wszyscy, klęcząc pod wzniesionym krzyżem, ślubują, ściągając klątwę na krzywoprzysięcę, bojaźliwego i zdrajcę.

Zaraz jednak ujawnia się tchórzostwo i fałsz obrońców. Na dziedzińcu kolejno podchodzą do Henryka Hrabia, Baron i Książę — każdy po cichu sondując możliwość układów lub poddania. Henryk zbywa ich twardo: Baronowi przypomina, że jedyna litość, jakiej mogą się spodziewać od wroga, „zowie się szubienica", a Księciu, namawiającemu wodza do rozpoczęcia rokowań, oświadcza wprost: „Mości Książę, już na śmierć zasłużyłeś". Publicznie ogłasza, że „kto wspomni o poddaniu się, ten śmiercią karany będzie" — i zmusza całe zgromadzenie, by powtórzyło te słowa. Obrona twierdzy opiera się więc nie na wierze magnatów, lecz na woli i terrorze jednego człowieka.

Na szczycie wieży Henryk dowiaduje się, że ślepy Orcio siedzi na progu starego więzienia i „śpiewa prorocтва". Wydawszy rozkazy obrony baszty Eleonory i polecenie rozdania ludziom wódki (choćby z piwnic hrabiów i książąt), wódz wygłasza monolog pełen mrocznej satysfakcji: rozkoszuje się tym, że jest „panem, władcą", że garstka wrogów krzyczy ku niemu z przepaści „jak potępieni ku niebu". Wie, że zostało mu „dni kilka", lecz wita znaki własnego zgonu — krwawy zachód słońca w „czarnej trumnie z wyziewów" — „szczerzym sercem, niż kiedykolwiek witał obietnice wesela, ułudy, miłości", bo do celu doszedł „nagle, znienacka, jakom marzył zawsze". Panowanie i walka są jego „ostatnią pieśnią".

Najmroczniejsza scena części czwartej rozgrywa się w zamkowych lochach. Orcio, prowadzony przez zmarłą matkę, wiedzie ojca tajemnym przejściem do podziemi pełnych połamanych narzędzi tortur, gdzie „co noc powtarza się straszny sąd". Ślepy chłopiec widzi „duchem" to, czego oko ojca nie dostrzega: blade postacie dawnych ofiar zamku — niegdyś „przykutych, smaganych, trucizną pojonych" — które zbierają się, by sądzić oskarżonego. Oskarżonym okazuje się sam Henryk. Chór głosów wydaje na niego wyrok, który jest moralną puentą całego dramatu: „Za to, żeś nic nie kochał, nic nie czcił prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś — potępion na wieki". Orcio rozpoznaje w widmie „drugiego ojca" — spętanego, męczzonego — i wyznając, że to matka kazała mu nocą ojca tu przywieść, mdleje. Henryk, pojawiwszy z grozą, że „dziecię własne przywiodło go do progu piekła", chwytając omdlałego syna i ucieka z lochów, ścigany powtarzającym się wyrokiem potępienia — odkłada jednak rozrachunek, bo „musi jeszcze walczyć z ludźmi, potem wieczna walka".

W oblężonej, głodującej twierdzy dochodzi do buntu obrońców. Ojciec Chrzestny przybywa jako poseł Pankracego, namawiając do poddania i obiecując życie tym, którzy „uznają dążenie wieku"; kobiety błagają o litość dla głodnych dzieci, magnaci wypowiadają Henrykowi posłuszeństwo i sami chcą układać warunki kapitulacji. Henryk wygania posła („idź skryć siwą głowę pod namioty przechrztów i szewców") i miota oskarżenia w twarz tchórzącym panom —

wytykając im ucisk poddanych, próżniacze życie, służalczość — a hańbie szubienicy przeciwstawia śmierć na bagnietach. Gdy zbuntowani chcą go związać i wydać wrogowi, hrabia odwołuje się do prostych żołnierzy, z którymi dzielił niegdyś trudy i niebezpieczeństwa; ci stają po jego stronie z okrzykiem „Niech żyje hr. Henryk!”. Każe rozdać im resztki wódki i mięsa i pędzić na mury. Kobiety przeklinają go „za niewiniątka”, on odpowiada przekleństwem „za podłość waszą”.

Nadchodzi koniec. Na okopach zasłanych trupami i potrzaskanymi działami brakuje już amunicji — „ani kul, ani lotek, ani śrutu”. Henryk każe przyprowadzić syna, by go raz jeszcze uściskać, i w mrocznym monologu wyznaje swoją pychę: „Człowiekiem być nie warto — Aniołem nie warto... Trza być Bogiem lub nicością”. Orcio powtarza usłyszane od zmarłej matki słowa: „Dziś wieczorem czekam na syna mego”. Ojciec żegna chłopca — i w tej samej chwili Orcio pada, trafiony zabłąkaną kulą; głos z góry wzywa „duszę czystą” do siebie, a Henryk, przyłożywszy klingę do ust dziecka, stwierdza, że „oddech i życie uleciały razem”. Pchnięty rozpaczą rzuca się w wir bitwy.

Twierdza pada. Wierny Jakub kona, przeklinając upór pana — „niech ci czart odpłaci w piekle upór twój i męki moje”. Henryk zostaje sam: jego ludzie wyginęli, reszta kłęczy, błagając zwycięzców o miłosierdzie, a „ludzie nowi” wdarli się na wieżę północną, szukając hrabiego. Henryk staje na chwiejącym się głazie nad przepaścią, odmawiając poddania się ludzkiemu sądowi — „ja stąпам ku sądowi Boga”. Widzi przed sobą czarną wieczność, a w jej środku „Boga, jak słońce, co się wiecznie pali, wiecznie jaśnieje — a nic nie oświeca”. Z ostatnim, bluźnierczym okrzykiem — „Poezjo, bądź mi przeklęta, jako ja sam będę na wieki!” — rzuca się w przepaść. Tak, klnąc poezję, która zwiódła go i zgubiła jego rodzinę i klasę, ginie samobójczą śmiercią potępieńca.

Ostatnia odsłona należy do zwycięzcy. Na zamkowym dziedzińcu Pankracy sądzi prowadzonych w łańcuchach hrabiów i książąt: wysłuchuje ich nazwisk, „wymazuje spośród żyjących” i skazuje na gilotynę. Ojca Chrzestnego, który chce odgrywać pośrednika, każe stracić razem z innymi — „pośredników nie znam tam, gdzie zwyciężyłem siłą własną”. O los Henryka pyta z wyraźnym napięciem, ofiarując wór złota choćby za jego trupa; naczelnik oddziału relacjonuje samobójczy skok hrabiego i przynosi jego pałasz. Pankracy, rozpoznawszy po herbie broń przeciwnika, oddaje mu hołd: „on jeden spośród was dotrzymał słowa — za to chwala jemu, gilotyna wam”. Rozkazuje zburzyć warownię i dopełnić egzekucji.

Lecz zwycięstwo wodza rewolucji okazuje się pozorne. Wstąpiwszy z Leonardem na basztę, Pankracy snuje plany tytanicznej odbudowy świata — zaludnienia puszczy, przedrażenia skał, połączenia jezior, „by we dwójnasób tyle życia się urodziło, ile śmierci teraz leży” — bo inaczej „dzieło zniszczenia odkupionym nie jest”. Gdy Leonard wspomina „Boga Wolności”, wódz strofuje go: „ślisko tu od krwi ludzkiej”. Nagle ogarnia go groza — czuje obecność „kogoś trzeciego”. Nad przepaścią, na chmurze dogasającej promieniami zachodu, objawia mu się

Chrystus: „jak słup śnieżnej jasności... oburącz wsparty na krzyżu, jak na szabli mściciel", w koronie cierniowej ze „splcionych piorunów". Od błyskawicy tego spojrzenia, „chyba mrze, kto żyw". Oślepiiony i rozkładany w proch wzrokiem Zbawiciela, Pankracy traci wzrok i siły; błaga Leonarda o „odrobinę ciemności", lecz wciąż widzi. Z ostatnim, słynnym okrzykiem — „*Galilae, vicisti!*" („Galilejczyku, zwyciężyłeś!", słowa przypisywane umierającemu Julianowi Apostacie) — wódz rewolucji stacza się martwy w ramiona Leonarda.

Dramat zamyka się więc podwójną klęską: ginie zarówno świat arystokracji (Henryk), jak i świat rewolucji (Pankracy). Żadna z dwóch ludzkich racji — ani obrona przebrzmiałej tradycji, ani budowa nowego porządku na krwi i nienawiści — nie okazuje się prawdą. Ostatnie słowo należy do Opatrzności, do siły wyższej niż historia: zwycięża Chrystus, „Galilejczyk", co nadaje całości jej tytuł — to nie jest komedia *boska*, jak u Dantego, lecz „nie-boska", ludzka tragedia dziejów, nad którą jednak czuwa Bóg.

Pełne opracowania, charakterystyki bohaterów i analizę problematyki „Nie-Boskiej komedii” znajdziesz w pozostałych artykułach tego działu, a zadania maturalne — na stronie [matury-online.pl](https://matury-online.pl/zadania/polski/nie-boska-komedia?from=maturapolski).